

Presja płacowa grozi wzrostem inflacji

Z profesorem Stanisławem Gomułą, głównym ekonomistą Business Centre Club, byłym wiceministrem finansów w rządzie Donalda Tuska, rozmawiał Jerzy Mosoń

Aż do 14 czerwca zamiast na własny rachunek pracowaliśmy na fiskusa. Jest szansa, że w najbliższych latach ta sytuacja ulegnie zmianie?

Mam nadzieję, że ta data będzie się przesuwac i obciążenia podatkowe będą maleć, chociaż musimy być realistami. Ciągłe mamy przecież bardzo duże transfery socjalne. Wydatki na emerytury i renty w Polsce są na poziomie ok. 40 proc. ogólnych wydatków publicznych. Jest też silnie rozwijający się front inwestycji publicznych. Także potrzeby szkolnictwa i służby zdrowia są bardzo duże i w związku z tym raczej nie oczekiwałbym, że obciążenia podatkowe spadną do takiego poziomu, jaki obserwujemy na przykład w krajach Dalekiego Wschodu. W najszybciej rozwijających się państwach świata wydatki publiczne to 20 – 30 proc. PKB (w tym roku nasze wydatki kształtują się na poziomie ok. 43 proc.) Przypuszczam, że w krajach Europy Zachodniej wydatki publiczne są wyższe niż w Polsce. Jeśli jednak przyjrzelibyśmy się krajom zachodnim sprzed 30-40 lat, gdy prezentowały rozwój zbliżony do dzisiejszej Polski, to ich wydatki na sferę publiczną kształtowały się między 30 – 40 proc. PKB. Byłoby dobrze, gdyby w Polsce udało się sprowadzić poziom tych wydatków z 43 proc. do 35 proc. PKB.

Jak dużo czasu potrzebujemy, by osiągnąć taki poziom?

Uważam, że zmniejszanie wydatków w tempie pół punktu procentowego rocznie jest realne. Sam Program Konwergencji przewiduje dosyć szybkie zmniejszanie udziału wydatków w dochodzie narodowym do poziomu 39 proc. w 2010 – 2011r. Gdyby ten cel został osiągnięty, to byłby to duży postęp w ograniczeniu skali wydatków publicznych, szczególnie wartościowy, jeśli byłoby to połączone z ograniczeniem deficytu budżetowego. Podstawowe cele, jeśli chodzi o finanse publiczne: wydatki na poziomie 35 – 36 proc. PKB i deficyt budżetowy w okolicy zera, w okresie szybkiego wzrostu, to kwestia – przy pewnej determinacji koalicji rządowej – 6 – 8 lat. Aby to osiągnąć, już teraz trzeba rozpocząć proces zwiększania aktywności zawodowej Polaków. Często mówimy, że ten poziom jest o około 8 punktów procentowych niższy niż w Europie Zachodniej. To oznacza, że można by zatrudnić nawet dwa miliony więcej osób i mieć PKB o 8 procent większe. A o tyle większe PKB to wzrost dochodów budżetowych o ok. 3 – 4 proc PKB. Co istotne, zwiększenie aktywności zawodowej Polaków stworzyłoby możliwości ograniczania obciążeń podatkowych bez ograniczania dochodów publicznych. Można byłoby osiągnąć dwa cele równocześnie: zmniejszać obciążenie gospodarki podatkami i dbać o właściwe finansowanie sfery publicznej, szczególnie jeśli mamy na myśli obszary, które mają duże znaczenie z punktu widzenia wzrostu gospodarczego czy eliminacji biedy, tj. szkolnictwo, inwestycje infrastrukturalne, program pomocy dla biednych rodzin, biednych dzieci.

Czy w tym okresie jest miejsce w Polsce na wprowadzenie euro?

Oczywiście. Mniej więcej w tym właśnie czasie. Jeśli chodzi o politykę fiskalną, to przede wszystkim chodzi o to, by zmniejszyć deficyt finansów publicznych do poziomu zerowego w okresie szybkiego wzrostu. W tym roku oczekuję, że to będzie ok. 2,5 proc. PKB więc nie jesteśmy daleko od osiągnięcia tego celu. Program Konwergencji przewiduje zmniejszenie deficytu do jednego procenta PKB w 2011 r. Wprowadzenie euro w 2012 r. byłoby możliwe z

punktu widzenia fiskalnego, pod warunkiem, że ten program konwergencji będzie realizowany.

Nie obawia się Pan wzrostu cen?

Nie chodzi o to, żeby nie było wzrostu cen. Ceny jakichś produktów muszą rosnąć. Chodzi o to, żeby ceny innych produktów spadały lub rosły na tyle wolno, by ogólna inflacja była w pobliżu celu inflacyjnego określonego przez NBP na 2,5 proc. lub EBC – 2 proc. Oczywiście obawiam się skutków presji płacowej, którą wywołuje spadające silnie bezrobocie. W tej chwili wzrost płac utrzymuje się na poziomie 10 – 13 proc. Chciałbym podkreślić, że wzrost wydajności pracy w gospodarce to około 4 proc. rocznie. W związku z tym wzrost płac nominalnych zgodnie z celem inflacyjnym, to 4+2,5 proc., czyli 6,5 proc. Każdy wzrost ponad tę wartość stwarza ryzyko przekroczenia celu inflacyjnego NBP w perspektywie 2 – 3 lat. Jeśli wzrost płac byłby kontynuowany jeszcze przez rok, półtora, to z czasem mielibyśmy efekt dużej inflacji. W ostatnich latach wzrost inflacji ograniczało umacnianie się złotego. To umacnianie mogłoby być dalej pomocne, gdyby utrzymać wzrost płac nominalnych w okolicach 6 proc. Natomiast w tej chwili istnieje ryzyko, że inflacja będzie dalej rosła i w perspektywie dwóch lat znacznie przekroczy cel inflacyjny. Gdyby tak się stało, gdyby w trakcie bieżącego i przyszłego roku Polska nie spełniała celu inflacyjnego, byłby problem z wejściem Polski do strefy euro. Trzeba też pamiętać, że wysoka inflacja oznacza z reguły także wyższe długoterminowe stopy procentowe, a te są w Polsce stosunkowo wysokie, dużo wyższe niż w strefie euro. Wygląda na to, że Polska już teraz nie spełnia lub w niedługim czasie nie będzie spełniać obu kryteriów nominalnych wejścia do euro, dotyczących zarówno inflacji jak i długoterminowych stóp procentowych.

Jak zatem zahamować inflację i sprowadzić ją z powrotem w obszar około 2 proc., w sytuacji, kiedy mamy malejącą stopę bezrobocia?

Jest kilka możliwości. Jedną z nich jest wzrost stóp procentowych, co będzie w sposób bezpośredni wpływać na umacnianie złotego, wskutek czego zmniejszy się zyskowność przedsiębiorstw. Jak zyskowność będzie mniejsza to przedsiębiorstwa nie zaakceptują wysokiego wzrostu płac. Zostanie zahamowana inflacja. W Polsce kanał kursowy odgrywa zasadniczą rolę, większą niż w innych krajach, gdzie stopy procentowe mają bezpośredni wpływ na popyt na towary i usługi. Przy niższej dynamice popytu, przedsiębiorstwa na Zachodzie zmniejszają zapotrzebowanie na pracowników, względnie zwalniają pracowników. W Polsce podstawowy kanał to kurs, bo nasze firmy są stosunkowo mało zapożyczone w bankach, podobnie jak gospodarstwa domowe. W związku z tym wzrost stóp procentowych o około jeden czy dwa punkty procentowe ma niewielki wpływ na koszty obsługi. Wzrost stóp procentowych musiałby być daleko większy, aby spaść popyt na kredyt.

Warto podkreślić, że umocnienie złotego musi przełożyć się na zmniejszenie zyskowności przedsiębiorstw, szczególnie z silnego w Polsce sektora eksportowego. Jak dotąd przez ostatnie 2 – 3 lata mieliśmy tę zyskowność bardzo wysoką. W tej sytuacji nie dziwi mnie, że doszło do takiego wzrostu płac. Liczę jednak na to, że już w tym roku umocnienie złotego zacznie ograniczać tempo wzrostu płac. Jeśli tak się stanie to są szanse, że inflacja w przyszłym roku nie będzie większa od tegorocznej. Z drugiej strony spotykamy się z ostrzeżeniami analityków Merrill Lynch czy OECD mówiące o tym, że inflacja w Polsce w ciągu najbliższych dwóch lat może wzrosnąć nawet do 8 proc. Taka możliwość istnieje, gdyby nie czynnik zmniejszania zyskowności polskich przedsiębiorstw. Jeśli wzrost płac będzie jednak kontynuowany w tempie 10-12 % w tym roku i w przyszłym to będziemy zmierzać do inflacji 6 – 8 proc. Oznaczałoby to pożegnanie się z perspektywą wejścia do

strefy euro. Mało tego, Rada Polityki Pieniężnej mogłaby, w sytuacji dużego wzrostu inflacji w sposób gwałtowny zacząć podnosić stopy procentowe, co zahamowałoby wzrost gospodarczy, a nawet mogłoby doprowadzić do recesji. Mielibyśmy do czynienia z powtórką tego, co działo się w latach 2001 – 2002. Dlatego, aby za kilka lat nie mieć do czynienia z kryzysem, nie można dopuścić do dużego wzrostu inflacji teraz. To nie jest tak, jak mówi minister Jacek Rostowski, że inflacja już wymknęła się nam spod kontroli. Jeszcze do tego nie doszło. Wzrost cen jest związany głównie ze wzrostem cen żywności i paliw, na co polityka pieniężna praktycznie nie ma wpływu. Taki wzrost inflacji pobudza jednak do żądań płacowych, które mogą podtrzymać inflację, a nawet ją zwiększyć. Dlatego – jak podkreślam – duże pole do popisu ma teraz RPP. Rząd również mógłby pomóc w ograniczeniu inflacji przeprowadzając sprawnie reformę emerytalną zwiększającą podaż pracy. Mam tu na myśli przede wszystkim eliminację emerytur przedwczesnych w systemie FUS oraz w służbach mundurowych, silne ograniczenie ilości emerytur pomostowych oraz szybkie zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn na poziomie 65 lat. Powinien też liberalizować politykę imigracyjną, otwierając granicę dla pracowników z Ukrainy, Bułgarii, Rumunii. Wówczas presja płacowa zostałaby zmniejszona, a jednocześnie podtrzymany zostałby wzrost gospodarczy.

A może powinniśmy raczej przeszkolić nieaktywną zawodowo część naszego społeczeństwa?

Wydaje mi się, że nie mamy na to czasu, bo inercja tych osób jest bardzo wysoka. Możliwości szkolenia, to sprawa długoterminowa. Jest też pytanie – jak te osoby się utrzymują? Są to emerytury przedwczesne, różne renty, system KRUS. W rejonach z niskimi płacami, z wysokim bezrobociem dociera bardzo dużo pieniędzy publicznych. Na tyle, żeby utrzymać minimalny poziom życia. W związku z tym presja, by czegoś się nauczyć, by zdobyć kwalifikacje nie jest duża. Zmniejszenie bezrobocia będzie postępować w tych rejonach, ale będzie to proces powolny. Natomiast już w tej chwili mamy duże braki siły roboczej, szczególnie w Polsce A, gdzie bezrobocie jest poniżej 5 proc. i gdzie presja płacowa jest bardzo duża. Liberalizacja polskiego rynku pracy byłaby więc bardzo wskazana.

Jak szeroko należy otworzyć granice?

Już dziś praca w Polsce dla wielu Ukraińców, Rumunów czy Bułgarów nie jest bardzo atrakcyjna. Tym szerzej trzeba otworzyć granice. Nie ma zagrożenia, że spotka nas zalew ze strony osób z tamtych krajów. Różnice w dochodach między Polakami, a mieszkańcami tych państw nie są już tak duże jak były, ale wciąż są znaczne. W związku z tym nie byłbym zdziwiony, gdyby z tych krajów przyjechało do Polski tyle osób, ile z Polski wyjechało, czyli 1 – 2 mln. Gdybyśmy właśnie mieli zastrzyk siły roboczej tego rzędu wielkości plus większą aktywność zawodową miejscowej ludności, tzn. dodatkowe jakieś dwa miliony zatrudnionych, to taki przyrost podaży siły roboczej podtrzymałby silny wzrost gospodarczy na najbliższe dziesięć lat, a równocześnie ułatwiłby ograniczenie inflacji do niskiego poziomu. To umożliwiłoby wejście Polski do strefy euro. A to oznacza otwarcie dostępu do kapitału zagranicznego dla polskich przedsiębiorstw. Mogłyby one pożyczać w systemie bankowym dużo więcej niż teraz i po niższych stopach procentowych. Nie musiałyby się obawiać, że te stopy procentowe wzrosną. Problem z pożyczaniem jest dwojaki. Stopy procentowe są wyższe niż na Zachodzie i jest ryzyko, że będą jeszcze wyższe. To powstrzymuje przedsiębiorców przed finansowaniem projektów inwestycyjnych przez kredyt bankowy. Stąd bierze się m.in. fenomen Polski polegający na tym, że zdecydowana większość projektów finansowana jest ze środków własnych. Natomiast wejście do strefy

euro sprawiłoby, że stopy procentowe byłyby nie tylko od razu niższe, ale dawałoby pewność przedsiębiorcom, że one pozostaną niskie w dłuższej perspektywie. Dlatego zmalałoby ryzyko związane z finansowaniem inwestycji poprzez kredyt. Na szczeblu makroekonomicznym oznaczałoby to znaczny wzrost deficytu obrotów bieżących. Wzrósłby znacznie import. Mielibyśmy do czynienia również z przepływem oszczędności do Polski. W systemie bankowym jest dziś za mało polskich oszczędności. Polskie gospodarstwa domowe są zbyt biedne, polskie banki są zintegrowane z systemem bankowym i w związku z tym nasze przedsiębiorstwa uzyskiwałyby dostęp do zachodnich oszczędności. Generalnie pozwoliłoby to na zwiększenie udziału inwestycji w dochodzie narodowym. Równocześnie mielibyśmy więcej pracowników, więcej kapitału i szybsze tempo wzrostu. I to jest recepta na „irlandzki cud”. Podwyższenie tempa wzrostu do np 6 proc. już byłoby dużym sukcesem.